

GEORGES MEIRS.

Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

Wiliam Tharps wyciągnął z kieszeni papierosa i zapalał go powoli, zastanawiając się nad czymś.

— Panie Tharps! — zawołał zniecierpliwiony profesor — Trzeba szukać złodzieja! Ja muszę dziś jeszcze odnaleźć moje papiery i walizę.

— Znajdą się — odparł flegmatycznie detektyw. — Myślę właśnie nad tem, jak mógł wejść przez okno. Żadnych śladów tu nie widzę, a drzwi były na klucz zamknięte. Hm, hm! To ciekawe! Inne wyjścia tu niema?

— Nie!

— Jest komin! — oświadczył pan Wilson.

Tharps uśmiechnął się.

— Nie będziemy tam szukać! — rzekł z pewnością siebie. — Szkoda czasu. Czy pan profesor nie przypomina sobie, czy był sam w chwili, kiedy ten pokój opuszczał? Proszę się dobrze zastanowić, bo rzecz jest ważna.

— Byłem zupełnie sam! — odpowiedział stanowczo profesor.

— Kiedy to było?

— Oh, już dosyć dawno. Godziny nie mogę określić. Wtedy, kiedy ci panowie zjechali tutaj na śledztwo i obudzono mnie, donosząc o dokonanej zbrodni.

— Wiadomość ta musiała przykre na panu uczynić wrażenie?

— Oh! Do tej pory nie mogę się opamiętać! — biadał staruszek, przesuwając ręką po spoconem czole. — Prawie noc całą spędziłem bezsenność...

— A to dlaczego?

— Kiedy pracuję dużo w dzień, to potem spać nie mogę. Zasnąłem już nad ranem i obudzono mnie gwałtownie, informując o wypadku. Ubrałem się pośpiesznie wylekniiony i niespokojny i zaraz chciałem się przekonać, czy papiery moje i dokumenta są w porządku, bo przecież ci zbrodniarze mogli byli wejść także do mnie i ograbić mnie.

— I jak był wynik tego sprawdzenia?

— Papiery były jeszcze na swoim miejscu i nacieszyłem się bardzo, ujrawszy je. Pomimo to jednak przez ostrożność, wychodząc z pokoju, zamknąłem drzwi na klucz i klucz schowałem do kieszeni.

Podczas kiedy pan Schoetten opowiadał swoje przygody, Wiliam Tharps wyjął niewielki notatnik i ołówek i zdawało nam się wszystkim, że zapisuje zeznania staruszka.

Lecz jakże byłem zdziwiony, kiedy, podszedłszy bliżej do niego, przekonałem się, że przyjaciel mój nie pisze, lecz rysuje!

Na ćwiartce papieru występował coraz wyraźniej karykaturalny profil profesora. Zrozumiałem teraz, dlaczego tak cierpliwie słucha jego wynurzeń.

Cóż mógł znaczyć ten żart Tharpsa? W chwili tak poważnej rysował sobie najspokojniej, zdając się zapominać o właściwym celu naszego zebrania w tym pokoju.

Okoliczność ta jeszcze silniej utwierdziła mnie w przekonaniu, że już jest na tropie zbrodni i kradzieży i dlatego nie okazuję żywszego zainteresowania, słuchając słów pana Schoettena.

Kiedy profesor zamilkł, dodawszy do zeznań swoich kilka gniewnych wykrzykników pod adresem rabusiów — Wiliam Tharps zamknął notatnik, schował do kieszeni i zapytał niespodziewanie:

— Czy pan pali, kochany profesorze?

Proste to pytanie wprowało w niemale zdumienie staruszka.

Spojrzał wokoło niespokojnym wzrokiem — zaczerwienił się silnie i odpowiedział w końcu wahającym tonem:

— Tak... tak... palę... pewnie że palę... to jest niekiedy... rzadko...

— Papierosy, cygara?

— Cygara... czasem fajkę... Ale dlaczego się pan o to pyta? Czy to pytanie przedstawia dla pana coś ważnego?

— Oh, nie! — odparł niedbale Wiliam Tharps, uśmiechając się z lekką ironią. — Ale przyznać muszę, że z prawdziwą przyjemnością słucham pana mówiącego...

Żart ten przyjęto w milczeniu, a pan Schoetten zdawał się go nierozumieć.

Podchwyciłem mimowoli w międzyczasie wy-

mianę spojrzeń pomiędzy panią Donay a pułkownikiem Ricotte, z których poznałem, że oboje nie byli zadowoleni z dziwnego wystąpienia mojego przyjaciela. Ja sam czułem się trochę zawstydzony za niego.

Aby przerwać nieprzyjemne wrażenie, jakie zaciążyło nagle w pokoju, podjąłem dalszą rozmowę o ostatnim wypadku, wykazując dziwne okoliczności, w których odbyła się kradzież papierów profesora Schoettena.

Wszyscy zgodzili się na jedno przypuszczenie, że złodziej musiał posiadać drugi klucz do mieszkania i cieszyć się zupełną swobodą ruchów w pensyonacie.

Nie śmiałem podjąć myśli, aby raz jeszcze przeprowadzono śledztwo w pokojach służby, ale przekonany byłem, że do tej ostateczności przejść musi. W każdym razie należało o nowym fakcie czemprejdziej uprzedzić policję, gdyż zapewne łączyć się on musiał z wypadkiem zbrodni i pan Ricotte obiecał zająć się tem bezzwłocznie.

Pensyonat wokoło bacznie był strzeżony przez agentów policyjnych, nie było więc obawy, aby złodziej umknąć mógł niepostrzeżenie.

Ajenci mieli ponadto surowo nakazane przez sędziego śledczego nie wpuszczać ani nie wypuszczać nikogo bez poprzedniego wylegitymowania się, gdyby nawet był to ktoś z gości pensjonatu lub domowników.

Zapytani przez Tharpsa, odpowiedzieli, że dotąd żadna istota ludzka wstępu do domu nie miała.

Złodziej więc musiał znajdować się na wewnątrz i szukać go trzeba było pomiędzy lokatorami lub służbą.

Detektyw po krótkim namyśle zadecydował przetrząsnąć raz jeszcze całego zakładu od góry do dołu. Wszyscy obecni towarzyszyli mu w tych poszukiwaniach z pułkownikiem Ricotte na czele. Ale te oględziny, tak samo jak i poprzednie, pozostały bez skutku. Nikogo obcego nie znaleziono w budynku.

— Złodziej i może zbrodniarz w jednej osobie, znajduje się pomiędzy nami — oświadczył poważnie Wiliam Tharps, kiedyśmy powrócili z tej bezowocnej wycieczki.

Wszyscy goście podejrzliwie i niespokojnie spojrzeli po sobie.

— Widzę, że podobne przypuszczenie zdumiewa państwo! — mówił dalej detektyw — Ale jednak ono jedno jest prawdopodobne. Wyłączyć mogę jedynie panią Donay, pułkownika Ricotte, profesora Schoetten, gdyż to on okradzionym został i mojego przyjaciela — gdyż ci tylko w czasie dokonania kradzieży znajdowali się wraz ze mną w gabinecie na dole. Pozatem mieliście wszyscy państwo wolność chodzenia po pensyonacie w tym czasie.

— Więc co zamierza pan uczynić? — zapytała pani Donay z widoczną przykrością.

— Na razie nic jeszcze, aż do przybycia komisarza policji, który już zawezwany został.

Wiadomość ta uczyniła silne wrażenie na obecnych. Zaczęto szeptać i naradzać się. Niektórzy, dotknęci żywo ciężarem nad nimi podejrzeniem, zaczęli, aby detektyw natychmiast wyjaśnił sprawę i zwolnił ich od tak przykrego zarzutu.

Ale Wiliam Tharps grzecznie i stanowczo tłumaczył, że śledztwo w tym kierunku przechodzi zakres jego działalności i nie chce gości pani Donay narazić na przedwczesne może przykrości. Komisarz jak tylko przybędzie, sam wdroży potrzebną akcję, a do tej pory czekać należy cierpliwie.

Obecni więc, pomimo woli i chęci, musieli się zastosować do tego orzeczenia.

Zauważyłem, że markiz de Santa Cruza okazywał największe oburzenie i niezadowolenie. Wykrzykiwał głośno, że to wstyd najwyższy, aby gości zakładu pani Donay stawiać na równi ze służbą, obciążając ich tak hańbiącym zarzutem. Twarz jego śniada drgała gniewem, a spojrzenie złowrogie raz po raz zatrzymywało się na Wiliamie Tharps, który dalej zachowywał spokój i obojętność grzeczną.

Oburzenie jednak i niepokój wzrastał z każdą chwilą. Pani Donay, obawiając się wybuchu jakiego skandalu, uprosiła inspektora Cornet, który nadszedł właśnie w tej chwili, aby w obecności jej gości zarządził rewizję w pokojach służby. Nadmieniła jednak bezowocność tych zabiegów, wierząc gorąco w prawość i przywiązanie tych ludzi, chciała jednak tym sposobem uspokoić wzburzone umysły swoich lokatorów. Gdyby okazało się, że służba, jak przypuszczała, była niewinna, wówczas goście zechcą w spokoju pozwolić na zarządzenia władzy.

Wiliam Tharps uznał myśl pani Donay za dobrą i natychmiast zebrana służba chętnie zgodziła się na słuszne żądanie swojej pani.

Inspektor Cornet w asyście ajenta udał się do

ich pokoików, mieszczących się w oddalonym skrzydle budynku. Goście również pospieszyli za nimi, ciekawi wyniku poszukiwań.

Wiliam Tharps zaś, który nie chciał brać udziału w tem śledztwie, pozostał w gabinecie na dole.

Chciałem skorzystać z nadarżającej mi się sposobności porozmawiania z nim bez świadków i zostałem z nim razem.

— No — rzekł do mnie pierwszy — ciekawy jesteś pewnie, co z tego wszystkiego wyniknie — nieprawdaż, Tynhamie?

— Przyznaję ci się, że od odkrycia kradzieży u profesora Schoetten zastanawiam się nad tem bardzo głęboko.

— Ciekawa komplikacja! — rzucił niedbale Tharps.

— I co sądzisz o niej?

— Przedewszystkiem, że złodziej i morderca są jedną i tą samą osobą, o ile morderca wogóle istnieje — dodał z dziwnym jakimś przyciskiem w głosie.

— Cóż ty mówisz? — zawołałem zdziwiony.

— To, co słyszysz, mój kochany. Ale pozwól, że na razie mówić więcej o tem nie będę. Czekajmy cierpliwie. Czas wszystko wyjaśni.

Na tem skończyła się rozmowa moja z Tharps'em. Pomimo usilnych nalegań nie mogłem już nic więcej z niego wydobyć.

Bilet wizytowy.

Pensyonat pani Donay liczył pięć osób, należących do służby domowej. Pomiedzy niemi była kucharka, trzy pokojowe i służący. Ogrodnik i jego żona mieszkali poza obreębem budynku.

Wykluczonym więc było, aby które z nich zakradło się do domu w celu okradzenia profesora Schoetten, choćby dla tej przyczyny, że nie wchodzili tam nigdy. Ogrodnik tylko codziennie przynosił kosz jarzyn i kwiatów do kuchni i do pokojów wstępu nie miał. A zresztą, w jakim celu ci ludzie pokusiliby się o zabranie papierów i rękopisów, nie mających dla nich żadnej wartości.

Pokoje służby mieściły się na drugim piętrze w lewym skrzydle pensjonatu. Okna dwóch z nich wychodziły na front, drugie dwa zaś na ogród. — Natomiast jeden, najmniejszy, znajdował się na samym końcu korytarza, całkiem odsunięty od reszty.

Podjęte śledztwo zakończyło się w tym pokoiku, który był miejscem zamieszkania Julki, pokojowej, jedynej osoby w pensyonacie pani Donay, która pierwsza odkryła zbrodnię i widziała zwłoki zamordowanego pana d'Orwalda.

W tej chwili szmer podniesionych głosów, dochodzących nas z tej części domu, zwrócił naszą uwagę.

— Cóż się tam stać mogło? — zawołał z ciekawionym Wiliam Tharps — Chodźmy tam! Musieli odkryć coś nadzwyczajnego!

Pospieszyliśmy natychmiast do pokoju pokojowej i kiedy otworzyliśmy drzwi, oczom naszym przedstawiał się nieoczekiwany całkiem widok.

Na środku pokoju na podłodze leżała skradziona waliza profesora Schoettena.

Staruszek poznał ją natychmiast i podbiegł pochwycić ją skwapliwie, ale inspektor stanął w poprzek jego zamiarom. Chciał pierwiej skonstatować w sposób legalny, skąd ta waliza wziąć się tu mogła.

Na rozkaz inspektora dwóch agentów stanęło przy drzwiach wejściowych, broniąc wstępu ciekawym, cisnącym się z natarczywością. Do nas jednak ten rozkaz stosować się nie mógł, weszliśmy więc i nrzalem siedzącą bezwładnie na stołku rozplakaną i drżącą ze wzruszenia pokojówkę.

Zakrywając twarz batystową chusteczką, rozpaczliwym głosem wykazywała swoją niewinność i przysięgała, że nie wie, jakim sposobem waliza profesora u niej znaleźć się mogła.

Widok ten przykre na mnie uczynił wrażenie. W głosie dziewczyny brzmiała taka szczerość i przestrasz, że w jednej chwili byłem gotowy uwierzyć, że nie przyczyniła się niczem do kradzieży walizy.

Tymczasem inspektor, stojąc przy drzwiach, parlamentował z panią Donay i pułkownikiem Ricotte, prosząc ich, aby wpłynęli na spokojne zachowanie się ich gości, których niepokój i ciekawość utrudniała dalsze śledztwo i badanie.

Wiliam Tharps powolnym krokiem zbliżył się do pokojowej i przyglądał się jej z ciekawością. Nie broniła się już, lecz nieczuła na to, co się wokoło niej działo. Ikała cicho, ciągle zakrywając twarz batystową chusteczką.

Tharps po chwili, ku mojemu wielkiemu zdumieniu...